KIEDY KSIĘŻYC JEST NISKO

Odyseja odważnej Afganki, która ucieka z rodziną do lepszego świata

NADIA HASHIMI

NADIA HASHIMI

KIEDY KSIĘŻYC JEST NISKO

Odyseja odważnej Afganki, która ucieka z rodziną do lepszego świata

Przełożyła
Ewa Morycińska-Dzius

WYDAWNICTWO KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:
When the Moon is Low

Redaktor prowadząca: Beata Piecychna

Redakcja: Ilona Turowska
Korekta: Beata Piecychna
Korekta merytoryczna: dr Sylwia Surdykowska
Projekt okładki: Krzysztof Kibart, office@designpartners.pl
Skład: skladigrafika@gmail.com

WHEN THE MOON IS LOW. Copyright © 2015 by Nadia Hashimi. All rights reserved. Printed in the United States of America. No part of this book may be used or reproduced in any manner whatsoever without written permission except in the case of brief quotations embodied in critical articles and reviews. For information address HarperCollins Publishers, 195 Broadway, New York, NY 10007.

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Ewa Morycińska-Dzius

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2016
ISBN 978-83-65442-83-3

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

WYDAWNICTWO KOBIECE
www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Dedykuję Zoranowi, który obiecując mi,
że zawsze będzie moim najlepszym przyjacielem,
uczynił mnie najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.
Mały człowiek klatki buduje dla każdego, kogo zna i kocha,
podczas gdy mędrzec, który musi chylić głowę,
kiedy księżyc jest nisko,
jak noc długa i świat szeroki, gubi klucze dla pięknych
awanturujących się więźniów.

– Hafiz

PROLOG

Feriba

Chociaż uwielbiam patrzeć na swoje dzieci, kiedy spokojnie śpią, cofam się myślą do naszej podróży. Jakim cudem dotarłam aż tutaj – do pokoju hotelowego, w którym dwoje z moich trojga dzieci śpi zwinięte w kłębek na szorstkiej narzucie łóżka? Tak daleko od domu… tak daleko od znajomych głosów.

W czasach mojej młodości Europa stanowiła dla mnie oazę mody i klasy. Kraj pachnących kremów do ciała, dobrze skrojonych żakietów, słynnych uniwersytetów. W Kabulu podziwiano imperialistów o jasnej karnacji z drugiej strony Uralu. Trzepotałyśmy rzęsami, patrząc na nich i próbując pogodzić ich wytworność z naszą plemienną egzotyką.

Kiedy Kabul się rozpadł, prysły romantyczne marzenia mojego pokolenia. Nie oglądałyśmy już tych wszystkich europejskich ozdóbek. Skrzydła tej wojny tak bardzo zaciemniały niebo, że z trudem można było dojrzeć cokolwiek poza własną ulicą. Kiedy ja i mój mąż zdecydowaliśmy się na ucieczkę z ojczyzny, nasz zachwyt nad Europą ograniczał się tylko do jednego aspektu tego kontynentu – pokoju.

Już nie jestem panną młodą, nie jestem nawet młodą kobietą. Jestem matką, bardziej oddaloną od Kabulu, niż byłam kiedykolwiek wcześniej. Razem z dziećmi przeszliśmy przez góry, pustynie i oceany, żeby w końcu dotrzeć do tego zawilgoconego pokoju hotelowego, bynajmniej niewyrafinowanego i z pewnością niepachnącego. Afganistan nie spełnił moich oczekiwań. Na szczęście te wszystkie dobre rzeczy, jakich pragnęłam w młodości, nie mają teraz dla mnie znaczenia.

Nic z tego, co widzę, słyszę, czego dotykam, nie należy do mnie. Moje zmysły wypalają się wobec obcości tych ostatnich dni.

Nie mam odwagi, by niepokoić dzieci, a równocześnie całym sercem pragnę, żeby się zbudziły i przerwały moje rozmyślania. Pozwoliłam im spać, bo wiem, jak bardzo są wyczerpane. Wszyscy stanowimy taką zmęczoną gromadkę, czasem zbyt osłabioną, żeby się do siebie nawet uśmiechnąć… Chociaż jestem bardzo senna, wiem, że powinnam czuwać i słuchać tych nerwowych łomotów w swojej głowie.

Tak marzę, żeby usłyszeć odgłos energicznych kroków Selima na korytarzu…

Mojej ręki nie zdobią już złote bransolety, nie słychać ich melancholijnego brzęku. Postanowiłam je sprzedać. Nie mamy pieniędzy, żeby stawić czoło dalszej podróży. A przed nami jeszcze długa droga.

Selim tak bardzo chce się sprawdzić. Przypomina swojego ojca bardziej, niż mogłoby sobie z tego zdawać sprawę jego młodzieńcze serce. Myśli o sobie jako o mężczyźnie: sądzę, że to głównie za moją sprawą. Zbyt często dawałam mu powody, żeby uwierzył, że naprawdę nim jest. Lecz w istocie jest tylko chłopcem – i ten świat, który nigdy nie przebacza, chętnie mu o tym przypomina.

„Idę, madar dżan*. Jeżeli się będziemy chować w pokoju za każdym razem, kiedy się denerwujemy, nigdy nie dotrzemy do Anglii".

Mówił prawdę. Ugryzłam się wtedy w język, ale teraz mam to sobie za złe. Zanim mój syn nie wróci, będę patrzyła na te przyprawiające o mdłości białe ściany, na obrazki z kotwicami, na spłowia-

* Madar dżan – droga matka (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

łe sztuczne kwiaty... Będę czekać tak długo, aż te ściany się rozpadną, kotwice zlecą na podłogę, a kwiaty zamienią się w pył. Chcę, żeby Selim już wrócił.

Teraz myślę o swoim mężu więcej, niż myślałam, kiedy był przy mnie. Cóż za głupie, niewdzięczne serca mamy w młodości.

Czekam, aż gałka w drzwiach się obróci i do pokoju wejdzie mój syn, chwaląc się, że zrobił dla naszej rodziny coś, czego ja nie zdołałam. Wszystko bym oddała, by móc zaryzykować tak wiele jak on. Lecz nie mam niczego, co mogłabym ofiarować w zamian za tak naiwne pragnienie. Wszystko, co mam, to leżące przede mną dwie niewinne duszyczki, poruszające się lekko w niespokojnym śnie.

Jeszcze ciągle mogę ich dotykać, przekonuję samą siebie. Selim wróci, jeśli Bóg pozwoli, a wtedy znajdziemy się już blisko tego, żeby być razem, najbardziej, jak mamy nadzieję, że będziemy. Kiedyś nadejdzie dzień, w którym już nie będziemy oglądać się za siebie ze strachem, ani spać na cudzej ziemi z jednym otwartym okiem, ani trząść się na sam widok byle munduru. Kiedyś nadejdzie dzień, w którym znajdziemy dla siebie dom. A ja zaprowadzę dzieci – dzieci mojego męża – tak daleko, jak to możliwe; i będę się modliła, żebyśmy dotarli tam, gdzie będą mogły zasnąć spokojnie, a ja będę mogła odpocząć.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Feribą

Mój los został przypieczętowany krwią w dniu, w którym się urodziłam. Gdy ja walczyłam, próbując się wydostać na ten pokręcony świat, moja matka właśnie z niego zrezygnowała, odbierając mi szansę na to, by stać się prawdziwą córką. Położna przecięła pępowinę, uwalniając tym samym matkę od dalszych zobowiązań wobec mnie. Jej ciało stopniowo bladło, gdy moje różowiało; jej oddech zanikał, kiedy ja już krzyczałam. Umyto mnie, owinięto w kocyk i zaniesiono ojcu, który dziś przeze mnie został wdowcem. Padł na kolana, z twarzy odpłynęła mu cała krew. Padar dżan* sam mi potem opowiadał, że upłynęły trzy dni, zanim zdołał wziąć w ramiona córeczkę, która mu odebrała żonę. Wolę nie wyobrażać sobie, jakie myśli chodziły mu wtedy po głowie – cóż, kiedy mogę. Jestem pewna, że gdyby miał wybór, wybrałby moją matkę, nie mnie.

Ojciec robił, co mógł, lecz nie potrafił podołać zadaniu. Na jego obronę trzeba powiedzieć, że w owym czasie to nie było łatwe. Zresztą – chyba nigdy łatwe nie jest. Padar dżan był synem wezyra cieszącego się ogromnym szacunkiem miejscowej ludności. Ludzie w mieście zwracali się do mojego dziadka o radę, pomoc w media-

* Padar dżan – ojciec.

cjach albo o pożyczki. Dziadek – baba dżan* – był zrównoważony, stanowczy i mądry. Bez trudu podejmował decyzje i zawsze bronił swoich racji. Nie wiem, czy zawsze miał rację, ale mówił z takim przekonaniem, że ludzie w to wierzyli.

Wkrótce po swoim ślubie baba dżan dzięki mądrej transakcji handlowej stał się właścicielem sporego kawałka ziemi. Owoce tej ziemi wykarmiły i utrzymały całe pokolenia. Moja babka, bibi dżan**, która zmarła na dwa lata przed moimi tragicznymi narodzinami, urodziła dziadkowi czterech synów: mój ojciec był z nich najmłodszy. Wszyscy czterej dorastali, korzystając z przywilejów, jakie im zapewnił ojciec. Rodzina cieszyła się szacunkiem całego miasta: wszyscy moi wujowie dobrze się ożenili, dziedzicząc część ziemi i zakładając własne rodziny.

Mojemu ojcu też przypadła w udziale część ziemi – a ściśle biorąc, sadu. Na co dzień pracował w mieście jako urzędnik. Kabul, tętniąca życiem stolica Afganistanu, kryła się na piersi Azji Środkowej. (Dopiero w późniejszym okresie życia doceniłam znaczenie położenia geograficznego). Padar dżan był tylko słabą kalką dziadka. Baba dżan miał dobre chęci, ale nie potrafił ich wykorzystać.

Żeniąc się z moją matką, ojciec odziedziczył swoją część posiadłości rodzinnej, sad owocowy. Oddał się temu sadowi całą duszą, opiekując się nim od rana do nocy. Wdrapywał się na drzewa, by zerwać dla mojej matki najpiękniejsze owoce. W gorące letnie noce sypiał wśród drzew, odurzony słodkim zapachem dojrzałych brzoskwiń. Część plonów z sadu oddawał w zamian za utrzymanie domu i służby. Wydawał się zadowolony z takiego obrotu spraw. Był szczęśliwy i nie szukał niczego innego.

Moja matka – sądząc z tego, co słyszałam – była piękną kobietą. Gęste loki hebanowej barwy opadały jej poniżej ramion. Miała ciepły wzrok i królewską linię policzków. Podśpiewywała podczas pracy, zawsze nosiła zielony wisiorek i była znana ze wspaniałej asz*** z delikatnymi kluseczkami i z korzennych befsztyków w so-

---

* Baba dżan – dziadek.

** Bibi dżan – babka.

*** Asz – afgańska gęsta zupa jarzynowa z kluskami.

sie jogurtowym, rozgrzewających żołądki podczas ostrej zimy. Na samo wspomnienie tych potraw aż cieknie ślinka. Krótkotrwałe małżeństwo moich rodziców, choć aranżowane, było szczęśliwe, sądząc z tego, jak oczy ojca lśniły przy tych rzadkich okazjach, kiedy mówił o żonie. Chociaż zajęło mi to wiele czasu, przemyślałam wszystko, czego się dowiedziałam o matce, i nabrałam przekonania, że wybaczyłaby mi to, jak bardzo zaszkodziło jej moje przyjście na świat. Nigdy nie poznałam swojej matki, ale ciągle potrzebowałam jej miłości.

Mniej więcej w rok po ślubie urodziła ona zdrowego chłopczyka. Gdy tylko ojciec go zobaczył, natychmiast nadał mu imię: Asad*. Mój dziadek, który wtedy szeptał noworodkowi do uszka azan**, udzielił mu muzułmańskiego chrztu. Wątpię, by wtedy Asada to interesowało. Chłopiec nie słyszał azan dziadka, już wtedy zajęty psotami i niezwracający uwagi na napomnienia.

Asad już w kołysce uważał się za pana tego świata. W końcu był pierworodnym synem, źródłem dumy całej rodziny. Miał przedłużyć istnienie rodowego nazwiska, odziedziczyć ziemię i troszczyć się o rodziców u schyłku ich życia. Jakby wiedząc, jakie życie go czeka, po prostu wysysał z rodziców wszystkie soki. Nawet pierś matki ssał tak długo, że była cała obolała. Ojciec pospiesznie robił zabawki dla syna. Konstruował je tak, by czegoś go nauczyły. Z jeszcze większą determinacją starał się o wszystko, co było potrzebne młodej matce.

Matka była dumna, że dała syna mężowi, w dodatku zdrowego. Ze strachu, by sąsiedzi albo członkowie rodziny nie byli zazdrośni i nie „uroczyli" dziecka, wszyła mu w ubranko ofiarowany przez szwagierkę mały, niebieski kamień, amulet, który miał go chronić przed „złym okiem", nazar***. Zrobiła coś jeszcze. Dysponowała całą gamą rytuałów odczyniających nazar. Gdy Asad wydał się jej cięższy albo kiedy gość zrobił uwagę na temat jego różowych, tłustych policzków, zerkała na swoje paznokcie. Wszelkie komple-

* Asad – lew.

** Azan – wezwanie do modlitwy.

*** Nazar – urok, „złe oko".

menty kwitowała, szepcząc: nam-echada*, wzywając imię Boga. Wiedziała, że wynoszenie się nad innych przyciąga nazar z gwałtownością błyskawicy na otwartym polu.

Asad rozwijał się na mleku matki, jego buzia nabierała kształtów, a udka robiły się coraz grubsze. Czterdzieści dni po porodzie matka wydała westchnienie ulgi: jej syn przeżył najbardziej niebezpieczny okres! Dwa tygodnie po urodzeniu Asada matka widziała dziecko sąsiadów, sztywne i rozpaczliwie rozdygotane, opanowane jakąś okropną chorobą. Dusza tego noworodka odeszła, zanim rodzice zdążyli mu nadać imię. Potem się dowiedziałam, że dziecko zmarło w wyniku odcięcia pępowiny brudnym nożem. Prawda czy nie, my, Afgańczycy, mocno wierzymy, że nie wolno liczyć kurcząt, zanim nie upłynie czterdzieści dni od ich wylęgu.

Jak wszystkie matki madar dżan wierzyła w tajemniczą moc nasion dzikiej ruty, zwanych espand**. Garść czarnych nasion kazała wędzić, a potem wysypywać je na otwarty ogień, tak by dym unosił się nad głową Asada. Śpiewała przy tym:

To odpędza oko złe, to jest espand
Błogosławieństwo Króla Naqszbanda
Oko niczego, Oko ludzi
Oko przyjaciół, Oko wrogów
Ktokolwiek życzy źle, niech spłonie w tych węglach.

Ta pieśń pochodziła z dawnych, przedislamskich czasów, kiedy panował zoroastryzm***. Jego wyznawcy, a nawet muzułmanie ciągle wierzyli w potęgę tej religii. Ojciec natomiast cieszył się, że jego żona tak bardzo troszczy się o bezpieczeństwo jego potomka. I – och! – jak to musiało działać!

---

* Nam-e chada – imię Boga.

** Espand – ruta stepowa, roślina, którą spala się, a następnie okadza się wnętrza pomieszczeń, by odczynić złe uroki, lub w celu oczyszczenia powietrza. Zwyczaj znany na terenie Iranu i Afganistanu.

*** Zoroastryzm – jedna z najstarszych religii monoteistycznych, rozwijająca się w starożytnym Iranie (ok. XIII–VI w. p.n.e.) . Współcześnie nadal ma swoich wyznawców w różnych rejonach świata.

Śmierć matki nie wpłynęła na życie mojego brata tak bardzo, jak na moje. Nadal był tym pierworodnym, nadal odnosił sukcesy w życiu, zwykle kosztem innych. Jego beztroskie występki raniły ludzi z jego otoczenia, także mnie, niemniej jednak zawsze zdawał się wychodzić z nich bez szwanku. Matka karmiła go piersią tylko przez dwa lata, lecz mimo to zyskał siłę, która zapewniła mu dobrą pozycję w społeczeństwie.

Moja matka zmarła, zanim zdążyła wszyć amulet do mojej sukienki i wyszeptać nam–e chada, zanim zdążyła popatrzeć na swoje paznokcie i zanim zdołała z miłością rozpylić espand nad moją głową… Moje życie stało się pasmem niepowodzeń, pewnie dlatego, że matka nie miała szans, by odpędzić ode mnie zły czar. Moje narodziny zostały naznaczone śmiercią matki – i kiedy baba dżan żałośnie szeptał mi do ucha azan, nad wyczerpanym ciałem matki odmawiano zupełnie inne modlitwy. Azan mówiony głosem dziadka zawładnął całym moim jestestwem, każąc mi zachować wiarę. Na szczęście posłuchałam go, i to mnie uratowało.

Matkę pochowano na nowym, specjalnie dla niej przygotowanym cmentarzyku niedaleko domu. Nie odwiedzałam jej często, po trosze dlatego, że mnie tam nikt nie zabierał, a po trosze z powodu poczucia winy. Wiedziałam, że to przeze mnie tam leży, a inni mi o tym przypominali.

Ojciec został młodym wdowcem z dwuletnim synem i nowo narodzoną córeczką. Brat, nieporuszony brakiem matki, zajmował się sobą, podczas gdy ja naiwnie szukałam matczynej piersi. Mając dwójkę dzieci do opieki, ojciec pochował młodą żonę i zaczął się rozglądać za nową matką dla nich.

Dziadek namawiał, by zrobił to jak najszybciej, wiedząc, że noworodek może nie przeżyć bez matki. Jako wezyr znał wszystkie rodziny z sąsiedztwa. Znał pewnego miejscowego farmera z pięcioma córkami, z których najstarsza była już w wieku odpowiednim do zamążpójścia. Baba dżan był pewien, że rolnik, obarczony licznym potomstwem, z ulgą przyjmie jego ofertę.

Dziadek udał się do domu farmera i, zachwalając swojego syna jako szlachetnego i godnego zaufania młodzieńca, który miał nie-

szczęście tak wcześnie owdowieć, zainicjował rozmowy o zaręczynach najstarszej córki z moim ojcem. Delikatnie zaznaczając, że trzeba wziąć pod uwagę dobro dwojga małych dzieci, szybko posunął sprawy naprzód. Po paru miesiącach Mahbuba weszła do naszego domu, gdzie jak większość młodych mężatek przyjęła nowe imię, tak zwane domowe. Nienazywanie kobiety jej rodzinnym imieniem oznacza wyrażanie szacunku wobec niej. Myślę jednak, że jest w tym coś więcej. Myślę, że to sposób powiedzenia pannie młodej, że od tej chwili nie powinna patrzeć wstecz. Czasem to dobrze.

Koko Gul, najstarsza z pięciu sióstr, w domu opiekowała się młodszym rodzeństwem i była w pełni przygotowana do opieki nad dwójką dzieci. Szybko zdecydowała, że nie będzie żyć w cieniu mojej matki. Po swojemu urządziła pokoje w naszym domu, wyrzuciła ubrania matki i pozbyła się wszelkich śladów jej istnienia – no, z wyjątkiem mojego brata i mnie. Stanowiliśmy jedyny dowód na to, że nie jest pierwszą żoną mojego ojca – co było ważne nawet wtedy, kiedy pierwsza żona już nie żyła.

W tamtych czasach normą było, że mężczyźni brali sobie więcej żon – praktykę tę zarzucono dopiero po wojnie, głównie dlatego, że trzeba było te kobiety utrzymywać. Przyczyniło się to do powstania napięcia wśród żon. Status pierwszej żony był nieporównanie wyższy od statusu kolejnych. Koko Gul została obrabowana z możliwości bycia tą pierwszą przez kobietę, której nigdy nie poznała i z którą nie mogła rywalizować. Musiała natomiast wychowywać jej dzieci.

Koko Gul nie była złą kobietą. Nie głodziła mnie, nie biła ani nie wyrzucała z domu. Karmiła mnie, kąpała, ubierała i robiła to wszystko, co powinna robić matka. Kiedy zaczęłam mówić, nazywałam ją „mamą". Swoje pierwsze kroki skierowałam właśnie do niej, do kobiety, która szczęśliwie przeprowadziła mnie przez gorączki i tarapaty dzieciństwa.

Jednak wszystko to robiła jakby na odległość. Bardzo szybko odczułam jej urazę, chociaż jeszcze nie potrafiłam nazwać tego uczucia. Brat był inny. W ciągu paru miesięcy zaczął nazywać koko

Gul „matką” i wkrótce zapomniał, że kiedyś jej miejsce zajmowała inna kobieta. Tyle że trochę bardziej domagał się tego, co mu się należało: doskonale zdawał sobie sprawę, że macocha – rozpieszczając go – będzie chciała pozyskać serce ojca. Ten zawsze zadowolony z siebie mężczyzna, kiedy był w domu, cieszył się, że znalazł odpowiednią matkę dla swoich dzieci. Dziadek jednak, z wiekiem coraz surowszy, wiedział, że trzeba nas zawsze obserwować i być przy nas.

Nie byłam sierotą. Miałam rodziców i rodzeństwo, ciepły dom i dość jedzenia. Powinnam się czuć spełniona.

Ale żyć bez matki to jak zostać rozebranym do naga i rzuconym w śnieg. Moim największym strachem, który rósł wraz z miłością do moich dzieci, było, że mogę je opuścić w taki sam sposób.

Nie wiem, czy ten strach kiedykolwiek mnie opuści.

ROZDZIAŁ 2

Feribą

Koko Gul miała miły wygląd, ale tego rodzaju urody nie zauważyłoby się w pokoju pełnym ludzi. Była niemal wzrostu mojego ojca, miała gęste, czarne, sięgające do ramion włosy. Takie włosy, które zaraz po zdjęciu lokówek opadają płasko. Była zanadto piersiasta, żeby wyglądać filigranowo, a za chuda, żeby robić wrażenie władczej. Rzec można, że namalowano ją bardzo niewyraźnymi kolorami.

Dwa lata po ślubie z moim ojcem koko Gul urodziła pierwsze dziecko, dziewczynkę; było to dla niej wielkie rozczarowanie, a winą za to obarczyła natychmiast ducha mojej matki. Moją przyrodnią siostrzyczkę nazwano Nadżiba – na cześć naszej nieżyjącej babki. Nadżiba odziedziczyła po koko Gul okrągłą twarz i ciemne oczy z gęstymi, wygiętymi w łuk brwiami. Koko Gul zgodnie z tradycją malowała powieki córeczki kohlem*, żeby miała dobry wzrok i wyraziste oczy. Przez pierwsze dwa miesiące koko Gul spędzała całe godziny, szykując napar z nasion koperku i ziół, by zmniejszyć kolkę u dziewczynki i uciszyć jej ciągły płacz. Dopóki się nie

* Kohl – tradycyjny kosmetyk wyrabiany z mieszanki ziół, używany na Bliskim Wschodzie do malowania kresek na powiekach.

uspokoiła, obie, matka i córka, tworzyły wiecznie spragniony snu, nieznośny duet.

Brak cierpliwości koko Gul w stosunku do przybranych dzieci, od chwili pojawienia się własnego, przybrał na sile. Jeszcze bardziej świadoma tego, że nie jesteśmy jej własnymi dziećmi, szybko wpadała w rozdrażnienie i tłukła nas, uderzała szybko jak żmija. Karała nas biciem wierzchem dłoni. Kiedy w domu nie było ojca, podawała nam byle jakie posiłki. Jedliśmy naprawdę „rodzinnie" dopiero wieczorem, kiedy wracał ojciec.

Wraz z narodzinami Nadżiby łono koko Gul zapłonęło chęcią noszenia dzieci: w ciągu następnych czterech lat urodziła jeszcze trzy dziewczynki. Z każdą ciążą jej cierpliwość malała, a ojciec, który nade wszystko cenił sobie spokój, ale nie potrafił go egzekwować, coraz bardziej się oddalał. W rok po urodzeniu Nadżiby na świat przyszła Sultana. Koko Gul nawet nie starała się ukryć faktu, że oczekiwała syna – przeciwnie niż mój ojciec. Podczas trzeciej ciąży, prawie dwa lata później, modliła się. Niechętnie, ale jednak dawała jałmużnę biednym i jadła wszystko to, co, jak słyszała, może jej zagwarantować urodzenie męskiego potomka. Narodziny dziewczynki, którą nazwano Maurija, były dla niej kolejnym zawodem: uważała, że to duch mojej matki zesłał przekleństwo na jej łono. Kiedy urodziła się Mariam, moja czwarta siostra, koko Gul nie była już ani zawiedziona, ani zaskoczona. Czuła się zniszczona przez moją nieżyjącą matkę i ze smutkiem postanowiła nie mieć już więcej dzieci.

Jedynym synem mojego ojca pozostał Asad.

Moje najwcześniejsze wspomnienie powinno wiązać się ze szkołą albo z ulubioną lalką… jednak moje dzieciństwo było zupełnie inne.

Pamiętam, jak koko Gul leży na poduszce w salonie, obok niej nowo narodzona Maurija, ciasno owinięta modlitewnym szalem. Mam sześć lat.

– Feribo! – woła koko Gul. Malutka buzia Mauriji się wykrzywia: jest zbyt ciasno owinięta, żeby inaczej reagować.

– Tak, madar dżan.

Stoję kilka kroków od niej. Koko Gul, jeszcze w połogu, nie może robić nic poza karmieniem dziecka. Wiem, bo mi o tym przypomina aż nazbyt często.

– Feribo! Twoja ciotka zostawiła na ogniu trochę potrawki z kury. Nie starczy jej dla nas wszystkich. Może nazbieraj trochę kartofli w ogródku, żeby jedzenia wystarczyło dla każdego?

To oznacza dwie rzeczy: po pierwsze, że dziś wieczorem tylko mój ojciec i brat będą jedli kurczaka, a reszta będzie się musiała zadowolić gotowanymi kartoflami. Po drugie, że to ja będę musiała wyjść do oszronionego ogródka, żeby wykopać trochę bulw. Wcześniej, jesienią, zakopaliśmy zapas kartofli, rzodkwi, marchwi i rzepy w ziemi za domem.

– Madar, mogłabyś poprosić Asada, żeby to zrobił? – Na dworze jest zimno; już sobie wyobrażam siebie z łopatą!

– Nie ma go tutaj, a kartofle trzeba wykopać już teraz, inaczej nie będą gotowe na kolację. Włóż płaszcz i mitenki, te, co ci kupił ojciec. Nie zajmie ci to więcej niż kilka minut.

Nie chciałam wychodzić.

– No, idź, kochanie. Pomóż mamie, dobrze?

Ten pieszczotliwy ton był jak cukier, którym sypano gorący chleb. Dałam się nabrać.

Pamiętam, jak walczyłam z oporną łopatą, tak długą jak ja; w końcu poddałam się i znalazłam łopatkę odpowiednią do swojego wzrostu. Oddech mi zamarzał na mroźnym powietrzu, a palce – mimo mitenek – sztywniały. Czym prędzej wykopałam cztery ziemniaki i już miałam z powrotem zakopać resztę, kiedy zauważyłam kilka rzodkiewek. Nie wiem dlaczego – nie pamiętam – zabrałam także i te warzywa: wetknęłam je do kieszeni, bo ręce miałam zajęte.

– Mam je, madar dżan – zawołałam z kuchni.

– Dobra z ciebie dziewczynka, Feribo. Niech cię Bóg błogosławi. Teraz je umyj i obierz, wrzuć do garnka, zagotujemy je z sosem pomidorowym.

W tej chwili Maurija zaczęła popłakiwać.

Zrobiłam to, co mi kazała koko Gul, pokrajałam ziemniaki tak, jak mnie uczyła, uważając przy tym, żeby sobie nie pokaleczyć palców. Umyłam też i pokroiłam rzodkiewki, po czym w chwili natchnienia kulinarnego… wsadziłam je do tego samego garnka. Pomieszałam to wszystko, wyjęłam łyżkę aluminiową i poszłam do innych sióstr.

– Co za ohydny smród! Feribo! Coś ty narobiła? – Krzyk koko Gul rozległ się po całym domu, jakby miał nogi i własną wolę. Już wcześniej poczułam ten zapach, ale – będąc beztroską sześciolatką – nie zwróciłam na niego uwagi.

Nie przypuszczałam, że mam coś wspólnego z tym zapachem aż do chwili, kiedy koko Gul wstała, poszła do kuchni i podniosła aluminiową pokrywkę. Kuchnię natychmiast wypełniła chmura gryzącego dymu. Zakryłam nos ręką, zdziwiona, że dotąd tego nie czułam.

– Feribo, ty głupia! Ty głupia! – Powtarzała te słowa nieskończoną liczbę razy, trzęsąc głową z irytacją, a ręką przytrzymując niemowlę śpiące na jej plecach.

Czerwony miąższ rzodkiewek zdradził, co zrobiłam. Tego dnia nauczyłam się, że te twarde, czerwone kulki po ugotowaniu obrzydliwie śmierdzą. Nigdy nie zapomnę tego zapachu.

Kiedy miałam już tyle lat, że powinnam pójść do szkoły, koko Gul przekonała ojca, że potrzebuje mojej pomocy przy młodszych dzieciach. Ojciec, nie mogąc sobie pozwolić na służącą, zgodził się, żebym jeszcze przez rok została w domu. Chociaż mała, byłam użyteczna: mogłam chodzić po różne rzeczy i wykonywać niewielkie prace domowe. W następnym roku padł znów ten sam argument – i zostałam w domu, podczas gdy koko Gul była w ciąży z Mariam. To samo powtarzało się po każdych kolejnych narodzinach. Oczy dzieci były malowane kohlem, obdarowywano je słodyczami, kiedy przeżyły pierwsze czterdzieści dni, a główki golono, by potem wyrosły im gęste loki. Mnie pozostawiono ze słabym wzrokiem, byle jakim losem i włosami, które mi urosły, mimo że nikt nic z nimi nie robił.

Na szczęście baba dżan, mój dziadek, pilnował nas jak oka w głowie. Często do nas wpadał, a wtedy zachowanie koko Gul zmieniało się całkowicie. Dziadek zabierał Asada i mnie na spacery, a w kieszeniach miał dla nas zawsze pełno drobnych monet i łakoci; na niczyją wizytę nie czekałam z takim utęsknieniem jak na niego! Kazał nam odmawiać modlitwy, sprawdzał nasze ubrania i macał, czy na rękach mamy choć trochę sadełka. Koko Gul obserwowała go kątem oka: wyczuwała, że dziadek jej nie ufa, i miała do niego o to żal, ale milczała.

Niestety, wizyty baba dżan miały niewielki wpływ na moje codzienne życie. Kiedy siostry dorastały i koko Gul zajmowała się wyłącznie nimi, mnie odsuwano coraz bardziej na bok, do prac domowych. Karmiłam kury, opiekowałam się kozą i nosiłam wiadra z wodą ze studni. Codziennie trzepałam dywany i doglądałam młodszych sióstr. Kiedy Nadżiba osiągnęła wiek szkolny, koko Gul stwierdziła, że ma za dużo roboty, żeby sobie sama poradzić. Ojciec się zgodził – i na kolejny rok zostałam w domu. Młodsze siostry chodziły się uczyć alfabetu i liczenia – ja uczyłam się gotować. Ręce miałam zniszczone od szorowania plam na brudnych ubraniach. Jednak najbardziej bolało mnie to, że – podczas gdy inne dzieci szykowały się rano do szkoły – ja zostawałam w kuchni.

Mania przesądów koko Gul uprzykrzała wszystkim życie. Oczywiście zabobonów w naszej kulturze nie brakuje; koko Gul jednak hołdowała im ze szczególną gorliwością. Nie wolno nam było spać w skarpetkach, bo moglibyśmy oślepnąć. Jeśli ktokolwiek upuścił jakieś srebro stołowe, musiałam szorować cały dom od góry do dołu w oczekiwaniu na gości. Kiedy koko Gul kaszlnęła podczas jedzenia czy picia, przeklinała kogoś, kto niewątpliwie gdzieś źle o niej mówił. Myślę, że uwielbiała mieć przekonanie, że inni ludzie jej zazdroszczą wygodnego życia, jakie wiodła.

Jakby nie dość było tych przesądów, koko Gul wymyślała nowe. Dwa ptaki latające nad głową oznaczały, że pokłóci się z najlepszą przyjaciółką. Jak przypaliła cebulę – komuś nie smakowało jej danie, a jeśli kichnęła więcej niż dwa razy, zagrażały jej złe duchy. Padar dżan nie komentował zachowania macochy, tylko potem tłumaczył

nam spokojnie, że ona sama wymyśla te wszystkie rzeczy. Prosił, żebyśmy o tym nikomu nie mówili. Nie chciał mieć kłopotu. Koko Gul nie była typem człowieka, który zachowuje swoje myśli dla siebie, dlatego wszyscy sąsiedzi doskonale wiedzieli o jej fantasmagoriach.

W rogu naszego sadu rosły wspaniałe drzewa morwowe, których wielkie gałęzie opadały, dzięki czemu mogliśmy zrywać ich drobne owoce. Drzewa były stare, z ciężkimi, pokręconymi pniami. Drzewo w środku było pokryte korą tak węźlastą i sękatą, że koko Gul przysięgała, że w liniach tej kory może dostrzec twarz złego ducha. Przerażało ją to, ale i tak bardzo lubiła jeść owoce morwy. Dlatego, ilekroć miała na nie ochotę, wzywała mnie.

– Feriba dżan – wołała słodko, wyjmując z kredensu ceramiczną miskę – chciałabym, żebyś mi zerwała trochę morw w sadzie. Wiesz dobrze, że nikt nie potrafi zrywać tych drobnych owoców tak delikatnie jak ty. Gdybym poprosiła o ich zerwanie kogoś innego, wyszedłby z tego najwyżej dżem!

Jej pochlebstwa były niepotrzebne, ale ja, wiedząc, że koko Gul po prostu boi się wychodzić do sadu, uśmiechałam się pod nosem. Kiedy byłam chudą dziewięciolatką o prostych jak struny włosach, bałam się koko Gul bardziej niż tajemniczych labiryntów drzew w sadzie. Właściwie w świetle dnia, podczas gdy dom był pełen ludzi, sad stawał się moim schronieniem.

Pewnego wieczoru siostry ślęczały nad zadanymi lekcjami – koko Gul opanowała przemożna chęć zjedzenia owoców morwy. Posłusznie wyszłam z domu tylnymi drzwiami z pustą miską i ruszyłam w kierunku znajomego drzewa. Poskręcana kora wykrzywiała się do mnie złośliwie w bursztynowym świetle księżyca. Z braku światła dziennego na oślep szperałam w gałęziach w poszukiwaniu jagód. Zdążyłam zerwać najwyżej dwa, może trzy owoce, kiedy poczułam za plecami delikatny powiew, jak szept…

Odwróciłam się i zobaczyłam jarzącą się w ciemnościach postać mężczyzny: stał za mną. Nie odważyłam się odetchnąć, kiedy położył mi rękę na ramieniu tak lekko, że ledwie poczułam jego dotyk.

Dotknęłam jego długich, wąskich palców, potem ramienia, i objęłam go. Był stary, z krótką białą brodą i gęstą siateczką zmarsz-

czek na twarzy. Jego oczy zasłaniały gęste, białe brwi, prawie całkiem przysłaniając szaroniebieskie oczy. To był przyjaciel – od razu o tym wiedziałam. Moje gwałtownie bijące serce uspokoiło się, gdy usłyszałam jego serdeczny głos.

– Feriba dżan… Kiedy będziesz szła w ciemnościach, ja będę szedł za tobą i oświetlał ci drogę. Gdy będziesz czuła się samotna, ja będę czuwał nad tobą. Teraz tylko idź naprzód!

Mrugnęłam – a on zniknął. Rozejrzałam się w nadziei, że go zobaczę pomiędzy drzewami, ale już go nie było. Jego słowa wyryły się w mojej pamięci: wyraźnie słyszałam ten głos. Szeptałam je, żeby nie uleciały. Bardzo rzadko słyszałam swoje imię wymawiane z taką miłością.

– Feribo! – zawołała mnie koko Gul. Zaczynała się niecierpliwić.

Czym prędzej zebrałam tyle owoców, ile mogłam: palce miałam fioletowe od soku. Pobiegłam z powrotem do domu, od czasu do czasu rzucając okiem za siebie w nadziei, że staruszek znowu się pojawi. Ręce mi się trzęsły, kiedy stawiałam miskę przed koko Gul, która doglądała swoich córek, pilnie zapisujących coś w zeszytach. Zaraz zaczęła wcinać. Stałam przed nią nieruchomo.

– Coś ci się stało? – parsknęła.

– Madar dżan, byłam na dworze, pod drzewem morwy…

– No, i co?

– To znaczy… kiedy tam byłam… zobaczyłam jakiegoś staruszka. Wyszedł jakby ze światła, z roszani*. Nazwał mnie po imieniu i powiedział, że będzie szedł za mną i oświetlał mi drogę i że będzie nade mną czuwał. – Kiedy to mówiłam, w głowie dźwięczały mi słowa tamtego mężczyzny.

– Jakiś staruszek? No, a dokąd poszedł? – spytała koko Gul, patrząc spod przymkniętych powiek, po czym pochyliła się do przodu.

– On… zniknął. Pojawił się nagle, czułam jego rękę na ramieniu. Kiedy tylko skończył mówić, zniknął. Nie widziałam, dokąd poszedł, po prostu się rozpłynął! Nie wiem, kto to był… – Brakło mi tchu, ale nie czułam strachu. Czekałam, żeby koko Gul mi wyjaśniła, co takiego widziałam.

---

* Roszani – światło, jasność.

– Bismillah!* – wykrzyknęła pobożnie koko Gul. – Widziałaś anioła! To na pewno był anioł, ty głupia dziewczyno! Och, jak mogłaś nie rozpoznać anioła, który cię trzymał za ramię i obiecał nad tobą czuwać!

Anioł? To miałby być anioł? Dziadek opowiadał nam o aniołach i ich niebiańskiej potędze, kiedy razem z nami recytował sury Koranu. Jakże byłam ślepa, że nie rozpoznałam anioła! Koko Gul mówiła dalej, głośno narzekając, że tak nie doceniłam owego nieziemskiego spotkania. Siostry wpatrywały się we mnie szeroko otwartymi oczami. Lecz ostry głos macochy jakby zanikał we mgle, podczas gdy słowa anioła coraz głośniej rozbrzmiewały w mojej głowie.

Będzie nade mną czuwał. Mój anioł stróż zawsze będzie niósł dla mnie roszani… i już nigdy nie będę sama.

W następny dżuma** czekaliśmy, aż ojciec wróci z masdżed***. Wcześniej koko pouczała go, jak ma się modlić, żeby także ona i jej córki zostały nawiedzone przez anioła stróża. Ojciec niewiele mówił na temat mojego niezwykłego spotkania. Nie wiedziałam, jak bardzo i czy w ogóle w to wierzył.

Lecz koko Gul i ja wierzyłyśmy. W tym względzie miałyśmy jedno zdanie. Macocha dostrzegła we mnie drobne zmiany, a ja widziałam, co one dla niej oznaczały. Stałam się bardziej pewna siebie. Byłam posłuszna, ale już nie drżałam przed nią tak jak przedtem. Dumnie wychodziłam do sadu – tak dniem, jak i nocą. Miałam nadzieję, że anioł znowu się pojawi i powie mi parę ciepłych słów.

Koko Gul wychodziła z siebie. Przyjaciołom się chwaliła, że ja, jej córka, zostałam nawiedzona przez anioła. Takie odwiedziny zwiastowały pomyślną przyszłość, a ona chciała zagarnąć dla siebie chociażby część tego światła. Zaczęła dokładniej analizować własne sny, szukając w nich wskazówek, że niebiosa kontaktują się także z nią. Słyszałam, jak prosiła o to, modląc się. Do mnie zwracała się trochę serdeczniej i nawet głaskała mnie po głowie.

---

* Bismillah – w imię Boga.

** Dżuma – piątek.

*** Masdżed – meczet.

WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WydawnictwoKobiece.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece

ul. Kolejowa 12E/3
15-701 Białystok
e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
tel. 731-019-059